

Tadeusz Petrowicz

OPOWIEŚCI LEŚNICZEGO NAJGORSZE SĄ ZŁE OCZY

Myśliwi znani są z tego, że mają skłonności do przesady, jak również do ulegania przesądom. Sam jestem myśliwym i, jak większość z nich, mam swoje doświadczenia i poglądy na pewne sprawy dotyczące tej materii.

Duży wpływ na kształtowanie mojej wyobraźni, kiedy zaczynałem staż łowiecki, mieli dwaj ciekawi ludzie. Pierwszy z nich to Hucuł Wasyl Prodaniuk. Należał on do społeczności czarnohorskich górali, którzy żyjąc z dal od cywilizacji, w zagubionych osiedlach karpackiej puszczy, tworzyli odrębny świat. Świat ten był pełen tajemnic, legend, przesądów i bajek. Drugim był Franio Sumara, gajowy łowiecki, człowiek od dziecka związany z lasem i myśliwymi, po dobrej szkole, jaką otrzymał u hrabiego Stadnickiego. Od nich dowiedziałem się, że pecha przynosi ten, kto przechodzi nam drogę z pustymi wiadrami, co również można odnieść do czarnego kota. Nie będzie szczęścia na polowaniu, jeśli ktoś złoży nam życzenia pomyślności, a szczęście przynoszą pełne wiadra i jak najgorsze życzenia. Oni też uświadomili mi, że przed polowaniem trzeba koniecznie pogłaskać gołe damskie kolanko, ale bardziej doświadczeni, ci, co to na grubego zwierza chadzają, odnośnie kolanka twierdzą, że „im grubszy zwierz, tym wyżej bierz”.

Takie są przesady, z przymrużeniem oka, do których można jeszcze dodać zasadę niemycia się i niegolenia przed polowaniem, prawdopodobnie po to, ażeby upodobnić się do zwierza, na którego mamy zapolować. Nie wolno odstępować nikomu pierwszej upolowanej sztuki zwierzyny ani też pożyczać naboju.

Nie sposób wymienić wszystkich przesądów, bo jest ich bardzo dużo i nie jest to konieczne, ale są takie dwa, o których chcę coś więcej napisać.

Pierwszy dotyczy tych, którzy uwierzyli na serio w istnienie złych oczu, na które podobno trudno znaleźć lekarstwo. Właśnie mnie, który reprezentował myśliwych niedowiarków, zdarzyło się kiedyś uwierzyć w złe oczy i dobre życzenia.

Wszystko zaczęło się od pięknego zimowego ranka, który ucieszył mnie świeżą puszystą ponową. Śnieg skrzył się tysiącem srebrnych iskier, powietrze było czyste, mroźne i zdrowe, na niebie ani jednej chmurki. Taka pogoda zawsze cieszy myśliwego, tym bardziej gdy mieszka on na terenie łowiska, które obfituje w atrakcyjną zwierzynę. Razem z brzękiem janczarów do mojego mieszkania, które z braku służbowej osady wynajmowałem u „babci Kosowej”, wtoczył się Franio. Z jego uśmiechniętej gęby wyczytałem, że ma dla mnie pomyślny meldunek. Nie myliłem się. Franio otropił w Jamach dużego odyńca i właśnie przyjechał do mnie z tą wiadomością. Ponieważ Franio był doskonałym tropicielem, więc mogłem być pewny, że czeka mnie dobra zabawa. Szybko przygotowałem się do drogi, wziąłem smycz, Darusia i razem wyszliśmy do sanek.

Kiedy wygodnie usadowieni mieliśmy ruszać, od strony budynków gospodarczych wyszła „babcia Kosowa”, a widząc mnie ze strzelbą, popatrzyła na nas spod okularów i powiedziała, uśmiechając się przymilnie: „Panie leśniczy, niech się tam panu darzy, a zabij pan ze dwa dziki!”

Staruszka była życzliwa i sympatyczna, ale pomimo stałego tłumaczenia jej, że żaden myśliwy dobrych życzeń nie lubi, uparcie powtarzała swoje: „Zabij pan ze dwa”. Nie docierały do niej żadne nauki i prośby, tak jakby ich nie rozumiała albo nie chciała zrozumieć. Życzeniami Kosowej zbytnio się nie przejąłem, ale Franio od razu stracił humor. Pluł za siebie i mruczał szpetnie coś pod adresem starej baby. Potem, aż do samego Szczawnika, gdzie w jego domu mieliśmy się zatrzymać, aby zostawić konia i zabrać psy, był markotny i milczał.

Dom Frania był miły i życzliwy. Gospodarowały w nim dwie kobiety, stateczna gospodyni Sumarowa i ich piękna córka Zośka. Korzystając z okazji i aby „odczarować” życzenia Kosowej, znienacka pogłaskałem gołe kolanko Zośki. Było przy tym trochę pisku, ale to tak raczej dla zasady. Sumarowa poczęstowała nas gorącym mlekiem. Franio, już rozchmurzony, w lepszym humorze, zabrał swoje trzy psy, ja Dariusia i ruszyliśmy w las.

Droga była ciężka, bo śnieg leżał grubą warstwą, a dzik zalegał wysoko w górze, prawie pod Kotylnicznym Wierchem. Powoli pokonaliśmy najtrudniejszy odcinek drogi dzielący nas od miejsca, które Franio wybrał na moje stanowisko. Odpoczęliśmy chwilę, po czym ja zostałem, a Franio wraz z psami poszedł tam, skąd miał ruszyć odyńca.

Stałem spokojnie na udeptanym śniegu, pewny, że za chwilę usłyszę granie psów i przeżyję jedną z ciekawszych przygód łowieckich. Stanowisko miałem bardzo dogodne, z dalekim polem ostrzału. Widok z góry na dolinę Szczawnika był piękny, czułem się wolny jak ptak – miałem wtedy dwadzieścia kilka lat i świat się do mnie uśmiechał.

Czas trochę się dłużył, ale wiedziałem, że Franio miał do pokonania jeszcze spory kawałek drogi pod górę. Wreszcie panującą ciszę przerwało basowe, urywane szczekanie Azy, a po chwili dołączyły do niej Daruś, Reksio i Leda. Zaczął się najprzyjemniejszy koncert dla ucha myśliwego, powtarzany przez echo, głoszący melodię oznajmianą grubego zwierza. Psy były ostre i zgrane ze sobą, więc dzik szybko zrezygnował z walki i jak burza ruszył w dół po swoim wejściowym tropie. Usłyszałem głośnie wołanie: „pilnuj!” i równocześnie zobaczyłem olbrzymiego czarnego odyńca, wyskakującego w fontannie rozsypującego się śniegu na otwartą przestrzeń, nie dalej jak dwadzieścia kroków od mojego stanowiska. Złożyłem się, ale nie mogłem znaleźć miejsca na ułożenie kuli. Na dziku dosłownie jechały wszystkie cztery psy i bez obawy o postrzelenie któregoś z nich nie można było strzelić. Dzik oddalał się coraz bardziej, aż w końcu uszedł cało bez strzału.

Tym razem niezawodni pomocnicy Frania przesadzili w swej gorliwości, co w konsekwencji uratowało odyńca od niechybnej śmierci. Pomimo tego co się stało, nie miałem urazy do naszych czworonogów, żalowałem tylko, że nie miałem kamery zamiast strzelby, bo sytuacja była wyjątkowo korzystna do zrobienia doskonałych zdjęć.

Obraz, jaki przesunął się w polu mojego widzenia, był tak piękny, że wynagodził mi w zupełności trudy łowieckiej wyprawy. Gdyby Franio wypuścił tylko jednego psa, dzik wyszedłby na tak łatwy strzał, że nietrudno byłoby go trafić. Głęboki śnieg utrud-

niał biedakowi ucieczkę, więc strzeliłbym do niego jak do tarczy. Takie pokonanie wspa-
niałego zwierza, w moim odczuciu, na pewno nie byłoby przyjemnością. W przeciwień-
stwie do mnie, Franio był wściekły. Na siebie, bo zrozumiał swój błąd, na psy za to, że
wszystko zepsuły. Ale już najbardziej psioczył na Kosową, jej przypisując całą winę za
to, co nas spotkało.

W tym czasie jeszcze nie wierzyłem, że „babcia Kosowa” przynosi mi pecha. Kiedy
jednak minęły trzy kolejne lata, miałem już pewność, że tak jest naprawdę. Po jej nie-
odmiennych życzeniach: „a zabij pan ze dwa” oraz spojrzaniach rzucanych spod okula-
rów, zawsze spotykały mnie niepowodzenia i kłopoty. Raz nawet wpakowałem się na
zamieszkaną ziemiankę z banderowcami i omal nie zginąłem w miejscu, gdzie nawet
najlepszy pies by mnie nie znalazł.

Ale to jeszcze nie koniec moich doświadczeń z przesądami. Raz zdarzyło mi się
pożyczyć strzelbę koledze z sąsiedniego leśnictwa. Kiedy po kilku dniach odebrałem
broń, okazało się, że stało się z nią coś niedobrego. Po prostu przestała mi służyć. Obja-
wiała się to w ten sposób, że chociaż miałem doskonałe okazje, nic upolować nie mo-
głem. Spudłowałem cztery łatwe dziki, paskudnie chybiałem do zajęcy, uciekły mi dwa
lisy, a zwierzyna jak zaczarowana pchała mi się pod lufy. Franio za głowę się łapał, nie
mogąc zrozumieć, co mi się stało, aż w końcu nie wytrzymał i zapytał:

– Kochany szefie, a nie pożyczał pan czasem komuś strzelby?

Kiedy odpowiedziałem, że istotnie na kilka dni pożyczyłem broń koledze, uśmiechnął
się z politowaniem, pokiwał głową i powiedział, że teraz dopiero „jest w domu” i wszystko
rozumie. Potem zrobił mi cały wykład na temat złych oczu i ludzi, którzy potrafią naj-
lepszą strzelbę „zepsuć” tylko przez patrzenie na nią, a cóż dopiero wtedy, gdy dostaną
broń do ręki. Kiedy zobaczył, że śmieję się z tych przesądów, obraził się i przez tydzień
mnie unikał.

Pewnego dnia przyszedł jednak z meldunkiem, że ma otropioną watahę dzików
w Palenicy, ale „o ile nie dam mu strzelby do naprawienia, to szkoda fatygi, bo i tak nic
z niej nie zabiję”. Nie było rady, zgodziłem się. Co on tam z nią robił – nie wiem, bo
wyniósł się gdzieś za stodołę, ale Sumarowa zapewniała mnie z całą powagą, że jej stary
ma swoje niezawodne sposoby, ażeby zauroczoną strzelbę „naprawić”. Zapewniała mnie
również, że od dzisiaj moja broń będzie dobrze strzelała, a ja muszę uwierzyć w to, co
Franio mówi, bo on już niejedną zauroczoną broń „naprawił”, i to nie takim jak ja mło-
dym myśliwym. Nie odzywałem się, nie chcąc wyjść w oczach gospodyni na zatwar-
działego niedowiarka, ale tak naprawdę byłem niespokojny i miałem wątpliwości, czy
po tym Franiowym „naprawianiu” ogniem i wodą moja broń do reszty się nie zepsuje.
Ceremonia „naprawiania” nie trwała długo, otrzymałem strzelbę nienaruszoną, bez śla-
dów ognia czy wody. Franio był uśmiechnięty od ucha do ucha i oznajmił mi, że dzisiaj
strzelba będzie sama strzelała, bo jest dobra i zwierzyna na nią idzie.

Poszliśmy na Palenicę i tam faktycznie pech mnie opuścił. Zrobiłem dubleta do dzi-
ków. Okazało się, że jednak Franio miał rację. Moja strzelba została skutecznie oduro-
czona i przez długie lata służyła mi doskonale.

Może tajemnica przesądów łowieckich tkwi w tym, że wmawiamy sobie „coś”, wie-
rząc podświadomie, że przynosi nam pecha? A może jest w tym coś, czego nie da się
wytłumaczyć ani zrozumieć?